

STEPHEN KING

PAN MERCEDES



ALBATROS

Tytuł oryginału:
MR. MERCEDES

Copyright © Stephen King 2014
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Danuta Górka 2014

Redakcja: Dorota Jakubowska

Projekt graficzny okładki i brzegów: Sławomir Rybka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



9–10 kwietnia 2009

Augie Odenkirk miał datsuna z 1997 roku, który mimo wielu kilometrów na liczniku wciąż dobrze ciągnął, ale benzyna była droga, zwłaszcza dla faceta bez pracy, a City Center leżało na drugim końcu miasta, więc Augie postanowił pojechać ostatnim wieczornym autobusem. Wysiadł dwadzieścia po jedenastej, z plecakiem na ramionach i zwiniętym śpiworem pod pachą. Pomyślał, że o trzeciej nad ranem będzie się cieszył z puchowego śpiwora. Noc była mglista i przejmująco zimna.

– Powodzenia, stary – pożegnał go kierowca. – Powinieneś dostać jakąś nagrodę za to, że będziesz tam pierwszy.

Tylko że nie był pierwszy. Kiedy dotarł na szczyt szerokiego, stromego podjazdu prowadzącego do wielkiej hali, zobaczył co najmniej dwa tuziny ludzi czekających już przed rzędem drzwi. Niektórzy stali, większość siedziała. Ustawiono słupki i rozciągnięto pomiędzy nimi żółtą taśmę z napisami NIE PRZEKRACZAĆ; powstało skomplikowane przejście, kręte jak labirynt. Augie znał to z kin i banku, w którym miał obecnie debet, i rozumiał cel: stłoczyć jak najwięcej ludzi na jak najmniejszej przestrzeni.

Podchodząc do grupy ludzi, którzy wkrótce utworzą

korowód bezrobotnych ubiegających się o pracę, Augie ze zdumieniem i konsternacją zobaczył, że kobieta na końcu kolejki trzyma śpiące dziecko w nosidełku. Dziecko miało policzki zaczerwienione z zimna; przy każdym wydechu nieznacznie rzęziło.

Kobieta usłyszała kroki lekko zasapanego Augiego i odwróciła się. Była młoda i całkiem ładna, mimo podkrążonych oczu. Przy jej nogach stała nieduża pikowana torba. Augie przypuszczał, że zawiera rzeczy dla dziecka.

– Cześć – powiedziała kobieta. – Witamy w Klubie Rannych Ptaszków.

– Kto rano wstaje... – Zastanowił się, pomyślał: A co tam, i wyciągnął rękę. – August Odenkirk. Augie. Niedawno mnie zredukowali. Tak się mówi w dwudziestym pierwszym wieku, jak kogoś wyleją.

Podawała mu rękę. Miała przyjemny uścisk, mocny, bez cienia nieśmiałości.

– Nazywam się Janice Cray, a moje małe szczęście to Patti. Mnie też chyba zredukowali. Byłam gosposią u milej rodziny w Sugar Heights. Mój były pracodawca... ee... sprzedaje samochody.

Augie skrzywił się.

Janice kiwnęła głową.

– Wiem. Powiedział, że żałuje, ale muszą zacisnąć pasa.

– Ciągłe się to słyszy – przyznał Augie, myśląc: Nie mogłaś znaleźć nikogo do dziecka? Naprawdę nikogo?

– Musiałam ją zabrać. – Janice Cray nie potrzebowała telepatycznych zdolności, żeby odczytać jego myśli. – Nie mam nikogo, kto mógłby się nią zająć. Dosłownie nikogo. Dziewczyna z mojej ulicy nie mogła zostać całą noc, nawet gdybym jej zapłaciła, a i tak nie miałabym z czego. Nie wiem, co zrobimy, jeśli nie dostanę tej pracy.

– Twoi rodzice nie mogli jej wziąć? – zapytał Augie.

– Mieszkają w Vermoncie. Gdybym miała trochę

rozumu, zabrałabym Patti i pojechała do nich. Tam jest ładnie. Tylko że oni mają własne kłopoty. Tata mówi, że dom tonie. Nie dosłownie, to nie powódź ani nic takiego, tylko sprawy finansowe.

Augie kiwnął głową. To też często się słyszało.

Kilka samochodów wjeżdżało stromym podjazdem od Marlborough Street, gdzie Augie wcześniej wysiadł z autobusu. Skręciły w lewo, na rozległy, pusty parking, który z pewnością zapelni się do rana... za kilka godzin, kiedy Pierwsze Doroczne Miejskie Targi Pracy otworzą podwoje. Żaden z samochodów nie wyglądał na nowy. Kierowcy zaparkowali i prawie ze wszystkich aut wysiadło po trzech lub czterech szukających pracy, którzy skierowali się do drzwi hali. Augie nie stał już na końcu kolejki. Sięgała prawie do pierwszego zakrętu.

– Jeśli dostanę pracę, wynajmę opiekunkę – ciągnęła Janice. – Ale dzisiaj ja i Patti musimy zacisnąć zęby.

Dziewczynka zakaszlała chrapliwie, co wcale nie spodobało się Augiemu, poruszyła się w nosidełku i znowu znieruchomiała. Przynajmniej była ciepło otulona; nawet na rączkach miała maleńkie mitenki.

Dzieciaki przeżywają gorsze rzeczy, pocieszał się niepewnie Augie. Pomyślał o Dust Bowl i wielkim kryzysie. Tyle że dla niego ten był dostatecznie wielki. Dwa lata temu wszystko się układało. Nie żeby się pławił w luksusach, ale jakoś wiązał koniec z końcem i zwykle nawet mógł co miesiąc odłożyć niewielką sumę. Teraz wszystko diabli wzięli. Coś się porobiło z pieniędzmi. Nie rozumiał tego; był tylko urzędnikiem w dziale wysyłkowym Great Lakes Transport, znał się na fakturach i używał komputera, żeby wysyłać towary drogą morską, powietrzną i lądową.

– Ludzie widzą mnie z dzieckiem i myślą, że jestem nieodpowiedzialna – mówiła nerwowo Janice. – Wiem, widzę to w ich twarzach, widziałam w twojej twarzy. Ale co miałam

robić? Nawet gdyby ta dziewczyna od sąsiadów mogła zostać na całą noc, to by kosztowało osiemdziesiąt cztery dolary. Osiemdziesiąt cztery! Mam odłożone na czynsz za przyszły miesiąc, a potem jestem splukana. – Uśmiechnęła się i w blasku wysokich lamp sodowych z parkingu Augie dostrzegł łzy na końcach jej rzęs. – Rozgadałam się. Przepraszam.

– Nie musisz przeproszać.

Kolejka zrobiła już pierwszy zakręt i dotarła z powrotem do miejsca, gdzie stał Augie. Dziewczyna miała rację. Zauważył, że wiele osób gapi się na śpiące dziecko w nosidelku.

– Och, ciągle to robię. Jestem samotną, niezamężną matką bez pracy. Przepraszam wszystkich za wszystko.

Odwróciła się i popatrzyła na baner zawieszony nad szeregiem drzwi:

GWARANTUJEMY 1000 MIEJSC PRACY!

A poniżej:

Popieramy ludzi z naszego miasta!

– BURMISTRZ RALPH KINSLER

– Czasami mam ochotę przeproszać za Columbine* i za jedenasty wrzesień, i za to, że Barry Bonds bierze sterydy. – Zachichotała na wpeł histerycznie. – Czasami chcę nawet przeprosić za wybuch promu kosmicznego, chociaż kiedy to się stało, dopiero uczyłam się chodzić.

– Nie martw się – powiedział Augie. – Wszystko będzie dobrze.

Takie rzeczy po prostu się mówi.

* Masakra w Columbine High School – jedno z największych masowych zabójstw na terenie placówek oświatowych w historii Stanów Zjednoczonych; doszło do niej 20 kwietnia 1999 roku.

– Szkoda tylko, że jest tak wilgotno. Owinęłam ją na wypadek, gdyby zrobiło się bardzo zimno, ale ta wilgoć...
– Pokręciła głową. – Nic to, damy radę, prawda, Patti? – Obdarzyła Augiego słabym, pozbawionym nadziei uśmiechem.
– Żeby tylko nie padało.

• • •

Nie padało, ale robiło się coraz bardziej wilgotno; widzieli kropelki wody zawieszzone w smugach światła lamp sodowych. W którymś momencie Augie się zorientował, że Janice Cray zasnęła na stojąco: zgarbiona, z jednym biodrem wysuniętym do przodu, z mokrymi włosami opadającymi na twarz, z brodą niemal wspartą na piersi. Spojrzał na zegarek i zobaczył, że jest za kwadrans trzecia.

Dziesięć minut później Patti Cray obudziła się i zaczęła płakać. Jej matka (niezamężna matka, pomyślał Augie) wzdygnęła się, parsknęła jak koń, uniosła głowę i próbowała wyciągnąć dziecko z nosidelka. Nie mogła sobie poradzić – nóżki małej uwięzły. Augie pomógł, przytrzymując boki nosidelka. Wreszcie Patti się wyłoniła, teraz zawodząc na całego. Krople wody lśniły na jej maleńkim różowym kaftaniku i dopasowanym czepeczku.

– Jest głodna – powiedziała Janice. – Mogę jej dać pierś, ale w dodatku się zmoczyła. Czuję przez śpioszki. Boże, nie mogę jej tu przewijać... zobacz, jaka mgła się zrobiła!

Augie zastanawiał się, jakie bóstwo obdarzone poczuciem humoru ustawiło go w kolejce za tą kobietą. Zastanawiał się również, jak, do cholery, ona przebrnie przez resztę życia... przez całe życie, nie następne osiemnaście czy ileś lat odpowiedzialności za dziecko. Żeby wyjść w taką noc tylko z torbą pieluszek! Była aż tak zdesperowana?

Położył wcześniej swój śpiwór obok torby z pieluszkami Patti. Teraz kucnął, rozwiązał tasienki, rozwinął śpiwór i rozsunął zamek błyskawiczny.

– Włóż tam. Rozgrzejcie się. Potem podam ci to, czego potrzebujesz.

Popatrzyła na niego, trzymając wiercące się, płaczące dziecko.

– Jesteś żonaty, Augie?

– Rozwiedziony.

– Dzieci?

Pokręcił głową.

– Dlaczego jesteś dla nas taki dobry?

– Bo tu jesteśmy – odparł i wzruszył ramionami.

Patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, podejmując decyzję, potem podała mu dziecko. Augie trzymał Patti na odległość ramienia, zafascynowany czerwoną, rozwścieczoną twarzyczką, kapką smarków wiszącą u maleńkiego zadartego noska, pedałującymi nóżkami we flanelowych śpioszkach. Janice wsunęła się do śpiwora i uniosła ręce.

– Daj mi ją, proszę.

Augie podał dziecko i kobieta zagrzebała się głębiej w śpiwór. Obok nich, tam, gdzie kolejka po raz pierwszy się dublowała, stali i gapili się dwaj młodzi mężczyźni.

– Pilnujcie własnego nosa – warknął Augie i obcy odwrócił wzrok.

– Podasz mi pieluszkę? – poprosiła Janice. – Powinnam przewinać, zanim nakarmię.

Przyklęknął na jedno kolano na mokrym chodniku i rozpiął suwak pikowanej torby. W pierwszej chwili zdziwił się, widząc pieluszki z tkaniny zamiast pampersów, potem zrozumiał. Pieluszek z materiału można używać wiele razy. Może ta kobieta nie była całkiem beznadziejna.

– Widzę butelkę Baby Magic. Też ci dać?

Z wnętrza śpiwora, skąd wystawał teraz tylko kosmyk brązowych włosów, padła odpowiedź:

– Tak, poproszę.

Podał pieluszkę i balsam. Śpiwór zaczął się kręcić i

podskakiwać. Początkowo płacz się nasilił. Z któregoś dalszego zakrętu kolejki, ginącego w gęstniejącej mgle, ktoś zawołał:

– Nie możecie uciszyć tego bachora?!

Ktoś inny dodał:

– Powinno się wezwać opiekę społeczną.

Augie czekał, obserwując śpiwór. Wreszcie materiał przestał się poruszać i wysunęła się ręka trzymająca pieluszkę.

– Włóżysz to do torby? Tam jest plastikowy worek na brudne. – Janice wyjrzała jak kret z nory. – Nie bój się, to nie kupka, tylko mokre.

Augie wziął pieluszkę, włożył do plastikowego worka (z nadrukiem COSTCO), potem zamknął torbę na suwak. Płacz dochodził z wnętrza śpiwora jeszcze przez jakąś minutę, potem ucichł nagle, kiedy Patti zaczęła się pożywiać na parkingu City Center. Nad szeregiem drzwi, które nie otworzą się jeszcze przez sześć godzin, załopotał niefrasobliwie baner.

GWARANTUJEMY 1000 MIEJSC PRACY!

Akurat, pomyślał Augie. I nie złapiesz AIDS, jeśli zażywasz dużo witaminy C.

Minęło dwadzieścia minut. Na wzgórzu wjechało z Marlborough Street więcej samochodów. Do kolejki dołączyło więcej ludzi. Augie ocenił, że czeka już około czterystu osób. W tym tempie zbierze się ze dwa tysiące, i to według ostrożnych szacunków, zanim drzwi się otworzą o dziewiątej.

Gdyby mi zaproponowali smażenie frytek w McDonalddie, zgodziłbym się? – myślał.

Pewnie tak.

A stanowisko witającego klientów w Walmarcie?

Och, jasne. Szeroki uśmiech i „witamy serdecznie”. Augie uznał, że mógłby wykonywać tę pracę z palcem w nosie. Jestem towarzyski, pomyślał. I parsknął śmiechem.

- Co cię tak rozśmieszyło?
- Nic – odparł Augie. – Karm tego dzieciaka.
- Karmię – odpowiedziała Janice z uśmiechem.

• • •

O wpół do czwartej uklęknał, podniósł klapę śpiwora i zajrzał do środka. Janice Cray spała mocno, zwinięta w kłębek, z dzieckiem przy piersi. Ten widok przypomniał mu *Grona gniewu*. Jak się nazywała ta dziewczyna? Ta, która na końcu karmiła piersią mężczyznę? Imię jak nazwa kwiatu, pomyślał. Lily? Nie. Dahlia? Z całą pewnością nie. Miał ochotę złożyć dłonie wokół ust, podnieść głos i zawołać do tłumu: **CZY KTOŚ TU CZYTAŁ GRONA GNIEWU?!**

Kiedy się podnosił (uśmiechając się na myśl o tym absurdalnym pytaniu), przypomniało mu się imię. Rose. Tak się nazywała dziewczyna w *Gronach gniewu*. Ale nie po prostu Rose; Rosesharon, Róża Szaronu. Brzmiało biblijnie, jednak nie dałby za to głowy; nigdy nie czytał Biblii.

Popatrzył na śpiwór, w którym spodziewał się spędzić najzimniejsze godziny nocy, i pomyślał o Janice Cray, która chciała przeproszać za Columbine, jedenasty września i Barry’ego Bondsza. Pewnie wzięłaby też na siebie winę za efekt cieplarniany. Może po wszystkim, kiedy dostaną pracę... albo nie – co było równie prawdopodobne – zaprosi ją na śniadanie. Żadna randka, nic takiego, tylko jajecznicza na bekonie. A potem nigdy więcej się nie spotkają.

Przybywało coraz więcej ludzi. Zapełnili do końca serpentynowe przejścia ogrodzone taśmą z waśniackim napisem **NIE PRZEKRACZAĆ**. Potem kolejka rozciągnęła się na parking. Co dziwiło Augiego – i trochę niepokoiło – to panująca wszędzie cisza. Jakby wszyscy wiedzieli, że im się nie powie, i tylko czekali na oficjalne potwierdzenie.

Baner znowu niefrasobliwie zatrzepotał.

Mgła wciąż gęstniała.



Tuż przed piątą Augie ocknął się z drzemki, potupał, żeby odzyskać władzę w zdrętwiałych nogach, i spostrzegł, że w ciemność wkradło się brzydkie światło barwy żelaza. Stanowiło całkowite przeciwieństwo różanopalcej jutrzzenki poetów i starych filmów w technikolorze; to była antyjutrzzenka, wilgotna i blada jak policzek wczorajszego trupa.

Widział halę City Center, powoli wylaniającą się w całej tandetnej architektonicznej chwale z lat siedemdziesiątych zeszłego wieku. Widział zakręcającą dwadzieścia razy kolejkę cierpliwych ludzi, której ogon ginął we mgle. Teraz zaczęły się rozmowy, a kiedy przez hol za zamkniętymi drzwiami przeszedł woźny w szarym roboczym kombinezonie, rozległy się niegłośnie, ironiczne wiwaty.

– Odkryto życie na innych planetach! – krzyknął jeden z młodych ludzi, którzy wcześniej gapili się na Janice Cray... to był Keith Frias, którego lewe ramię niedługo zostanie wyrwane.

Ta cięta uwaga wywołała śmiech i rozmowy się ożywiły. Noc minęła. Nikłe światło niespecjalnie dodawało odwagi, ale było trochę lepsze niż długie godziny przed świtem.

Augie uklęknął obok śpiwora i nadstawił ucha. Uśmiechnął się, słysząc ciche, regularne chrapanie. Może niepotrzebnie się martwił o Janice Cray. Zapewne istnieją ludzie, którzy przez całe życie polegają na innych i jakoś udaje im się przetrwać, nawet nieźle im się wiedzie. Ta młoda kobieta z małym dzieckiem, chrapiąca teraz w jego śpiworze, pewnie do nich należała.

Przyszło mu do głowy, żeby przy różnych okienkach przedstawiać się z Janice Cray jako para. Wtedy obecność dziecka nie świadczyłaby o braku odpowiedzialności, tylko raczej o wspólnym zaangażowaniu. Nie miał pewności, czy ktokolwiek w to wierzy, natura ludzka w dużym stopniu

pozostawała dla niego tajemnicą, ale przypuszczał, że to możliwe. Postanowił powiedzieć Janice o tym pomysśle, kiedy się obudzi. Zobaczyć, jak zareaguje. Nie mogli udawać małżeństwa; ona nie nosiła obrączki, a on zdjął swoją na zawsze przed trzema laty, ale mogli się podawać za... jak to się teraz mówi? Partnerów.

Samochody nadal wjeżdżały po stromej pochyłości z Marlborough Street w stałych odstępach. Wkrótce pojawią się również piesi, którzy przyjadą pierwszym porannym autobusem. Augie był całkiem pewien, że zaczną napływać o szóstej. Z powodu gęstej mgły widział tylko przednie światła nadjeżdżających samochodów i niewyraźne cienie przyczone za szybami. Kilku kierowców zniechęciło się na widok ogromnego tłumu czekających i zawróciło, większość jednak jechała dalej, w stronę nielicznych pozostałych miejsc parkingowych; tylne światła ich wozów rozmywały się we mgle.

Potem Augie zauważył sylwetkę samochodu, który ani nie zawrócił, ani nie jechał dalej na koniec parkingu. Miał niezwykle jasne reflektory i żółte światła przeciwmgielne.

Lampy ksenonowe, pomyślał Augie. To mercedes benz. Co robi merc na targach pracy?

Przypuszczał, że to burmistrz Kinsler przyjechał wygłosić przemówienie do Klubu Rannych Ptasek. Pogratulować im ikry, starej dobrej amerykańskiej inicjatywy. Jeśli tak, myślał Augie, pojawienie się w mercedesie – nawet wiekowym – jest w złym guście.

Starszy facet w kolejce przed Augiem (Wayne Welland, w ostatnich chwilach swojej ziemskiej egzystencji) powiedział:

– Czy to benz? Wygląda jak benz.

Augie chciał już odpowiedzieć, że oczywiście tak, nie można nie rozpoznać ksenonowych reflektorów mercedesa, ale wtedy kierowca samochodu bezpośrednio za niewyraźną sylwetką nacisnął klakson – długi, niecierpliwый sygnał. Ksenonowe lampy błysnęły jeszcze jaśniej, wycinając oślepiąco

białe stożki wśród wiszących w powietrzu kropelek mgły, i wóz skoczył do przodu, jakby spłoszony przez klakson.

– Hej! – zawołał Wayne Welland ze zdziwieniem. To było jego ostatnie słowo.

Mercedes przyspieszył, kierując się prosto w najgęstszy tłum bezrobotnych, otoczonych przez taśmy z napisami NIE PRZEKRACZAĆ. Kilka osób próbowało uciekać, ale tylko ci na tyłach tłumu zdołali się wyrwać. Ci bliżej drzwi – prawdziwe ranne ptaszki – nie mieli szans. Uderzyli w słupki i przewrócili je, zaplątali się w taśmy, odbijali się od siebie. Tłum kołysał się do przodu i do tyłu, falował gwałtownie. Starsi i mniejsi przewracali się, inni ich tratowali.

Augie został mocno popchnięty w lewo, potknął się, odzyskał równowagę i poleciał do przodu. Czyjś łokieć z rozmachem walnął go w kość policzkową tuż pod prawym okiem i połowę pola widzenia wypełniły jaskrawe fajerwerki przypominające te z okazji Czwartego Lipca. Drugim okiem widział, jak mercedes nie tyle wyłania się z mgły, ile jakby z niej powstaje. Wielki szary sedan, może SL500 z dwunastoma cylindrami, i wszystkie dwanaście teraz wyło.

Augie został rzucony na kolana obok śpiwora i zarobił mnóstwo kopniaków, kiedy usiłował wstać: w ramię, w szyję, w bark. Ludzie wrzeszczeli. Usłyszał krzyk kobiety: „Uważaj, uważaj, on nie hamuje!”.

Zobaczył, jak Janice Cray wystawia głowę ze śpiwora, mrugając w oszołomieniu. Znowu skojarzyła mu się z płochliwym kretem wyglądającym z nory. Krecicą, zaspaną i rozczochraną.

Przelazł na czworakach i nakrył sobą śpiwór, kobietę i dziecko w środku, jakby własnym ciałem mógł ich osłonić przed dwutonowym wytworem niemieckiej techniki. Słyszał krzyki, niemal zagłuszone przez zbliżający się ryk potężnego silnika sedana. Ktoś rąbnął go mocno w tył głowy, ale prawie tego nie poczuł.

Zdążył pomyśleć: Chciałem postawić Róży Szaronu śniadanie.

Zdążył pomyśleć: Może on skręci.

Tak, to była ich szansa, prawdopodobnie jedyna szansa. Zaczął podnosić głowę, żeby sprawdzić, czy tak się stanie, ale ogromna czarna opona przesłoniła mu świat. Poczuł, że kobieta ściska jego przedramię. Poczuł jeszcze przebłysk nadziei, że dziecko ciągle śpi. Potem czas się skończył.

DET. EM.

1

Hodges wychodzi z kuchni z puszką piwa w ręku, siada w fotelu telewizyjnym La-Z-Boy i stawia puszkę na stoliku z lewej strony, obok broni. To rewolwer Smith & Wesson .38 z oznaczeniem M & P stosowanym w wyposażeniu wojskowym i policyjnym. Hodges poklepuje go z roztargnieniem, jak się poklepuje starego psa, potem bierze pilota i włącza Kanał Siódmy. Trochę się spóźnił i publiczność w studiu już klaszcze.

Myśli o modzie, przelotnej i zgubnej, która nawiedziła miasto pod koniec lat osiemdziesiątych. Czy może raczej „zaraziła”, bo to było jak przejściowa gorączka. Trzy miejskie gazety pisały o tym wstępniaki tamtego lata. Teraz dwie z tych gazet wyciągnęły nogi, a trzecia dogorywa.

Prezenter wkracza na scenę w eleganckim garniturze, machając do publiczności. Hodges ogląda ten show prawie codziennie, odkąd przeszedł na emeryturę, i uważa, że prowadzący jest za inteligentny do takiej roboty, przypominającej nurkowanie w ścieku bez kombinezonu. Myśli, że prezenter należy do tego typu ludzi, którzy popełniają samobójstwo, a potem wszyscy krewni i znajomi zapewniają, że nic na to nie wskazywało; opowiadają, jaki był wesoły, kiedy go widzieli ostatni raz.

Na tę myśl Hodges znowu z roztargnieniem poklepuje rewolwer. To model Victory. Stary, ale jary. Kiedy Hodges był w czynnej służbie, miał glocka kalibru .40. Kupił go – policjanci w tym mieście musieli sami sobie kupować służbową broń – i teraz glock leży bezpiecznie ukryty w sypialni. Bezpieczny w bezpiecznym sejfie. Rozładował go i schował po uroczystym pożegnaniu, i od tamtej pory nawet na niego nie spojrzął. Nic ciekawego. Lubi jednak trzydziestkęosemkę. Jest do niej sentymentalnie przywiązany, ale nie tylko o to chodzi. Rewolwer nigdy się nie zacina.

Oto pierwszy gość, młoda kobieta w krótkiej błękitnej sukience. Twarz ma ociupinkę bezmyślną, za to ciało fantastyczne. Hodges wie, że pod tą sukienką kryje się tatuaż z rodzaju tych nazywanych obecnie *tramp-stamp*. Może dwa albo trzy. Mężczyźni na widowni gwizdzą i tupią. Żeńska część widowni klaszcze trochę oszczędniej. Niektóre panie przewracają oczami. Żadna nie chciałaby, żeby jej mąż się gapił na taką kobietę.

Dziewczyna jest wkurzona od samego początku. Opowiada prezenterowi, że jej chłopak ma dziecko z inną i ciągle ich odwiedza. Ona nadal go kocha, mówi, ale nienawidzi tej...

Rozlega się przeciągły dźwięk zagłuszający jej następne słowa, ale Hodges odczytuje z ruchu warg: „pieprzonej kurwy”. Publiczność wiwatuje. Hodges pociąga łyk piwa. Wie, co będzie dalej. Ten program jest przewidywalny jak serial w piątkowe popołudnie.

Prezenter pozwala jej jeszcze trochę pogadać, po czym przedstawia... DRUGĄ KOBIETĘ! Ta też ma fantastyczne ciało i burzę blond włosów, i tatuaż. Podchodzi do pierwszej kobiety i mówi:

– Rozumiem, jak się czujesz, ale ja też go Kocham.

Zamierza powiedzieć coś jeszcze, ale nie zdąża, ponieważ Fantastyczne Ciało Jeden przechodzi do ataku. Ktoś za sceną

daje sygnał dzwonkiem, jakby rozpoczynała się runda bok-serska. Hodges myśli, że program rzeczywiście przypomina walkę i że wszyscy goście tego show muszą otrzymywać wynagrodzenie; inaczej czemu by to robili? Dwie kobiety okładają się pięściami i drapią paznokciami przez kilka sekund, po czym rozdziela je dwóch mięśniaków w koszulkach z napisem OCHRONA, którzy obserwowali całą scenę z pewnej odległości.

Przez jakiś czas kobiety wrzeszczą na siebie, gruntowna i szczerza wymiana poglądów (wiele niecenzuralnych słów zostaje zagłuszonych), podczas gdy prezenter przygląda im się dobrotliwie. Tym razem Fantastyczne Ciało Dwa podejmuje walkę na nowo, wymierzając rywalce siarczysty policzek. Głowa Fantastycznego Ciała Jeden odskakuje do tyłu. Znowu rozlega się dzwonek. Kobiety przewracają się na scenę, zadzierając sukienki, biją się, drapią i gryzą. Publika szaleje. Mięśniaki z ochrony rozdzielają zapaśniczki i prezenter staje między nimi, przemawiając tonem z pozoru uspokajającym, w rzeczywistości podżegającym. Kobiety deklarują głębię swojej miłości, plując jedna drugiej w twarz. Prezenter zapowiada, że zaraz wróci na antenę, a potem aktorka klasy C reklamuje pigułki odchudzające.

Hodges pociąga następny łyk piwa i wie, że nie wypije nawet pół puszki. Dziwne, bo kiedy był glina, niemal popadł w alkoholizm. Kiedy picie zniszczyło jego małżeństwo, uznał, że naprawdę jest alkoholikiem. Zmobilizował całą siłę woli i pohamował się, obiecując sobie, że będzie pił, ile dusza zapagnie, jak już odpracuje swoje czterdzieści lat... Impo-nująca liczba, skoro pięćdziesiąt procent miejskich gliniarzy odchodziło na emeryturę po dwudziestu pięciu latach służby, a siedemdziesiąt procent po trzydziestu. Tyle że teraz, gdy już przepracował swoją czterdziestkę, alkohol przestał go interesować. Kilka razy upił się na siłę, żeby sprawdzić, czy jeszcze może, i mógł, ale po pijaku wcale nie czuł się lepiej niż na

trzeźwo. Właściwie nawet trochę gorzej. Dziwne.

Koniec reklam. Prezenter show zapowiada następnego gościa i Hodges wie, kto to będzie. Publiczność też wie. Ujadają wyczekująco. Hodges podnosi broń ojca, zagląda do lufy i odkłada rewolwer z powrotem na program telewizyjny.

Mężczyzna, o którego tak zawzięcie rywalizują Fantastyczne Ciało Jeden i Fantastyczne Ciało Dwa, wyłania się zza kulis po prawej stronie. Wiadomo, jak będzie wyglądał, zanim jeszcze wszedł dumnym krokiem, i tak, to on: pompierz na stacji benzynowej albo magazynier w Targecie, albo może gość, który zrobił ci detailing samochodu (źle) w warsztacie Mr. Speedy. Jest chudy i blady, z czarnymi włosami sterczącymi nad czołem. Nosi drelichowe spodnie i krzykliwy żółto-zielony krawat, zaciśnięty jak postronek tuż poniżej wystającego jabłka Adama. Spod nogawek spodni wystają spiczaste czubki zamszowych butów. Wiedziałeś, że kobiety mają tatuaże, i wiesz, że ten mężczyzna ma kutasa wielkiego jak koń, strzela spermą mocniej niż lokomotywa i szybciej niż rozpędzony pocisk; dziewica, która usiądzie na toalecie, gdzie ten facet się spuścił, zajdzie w ciążę. Prawdopodobnie urodzi bliźnięta. Mężczyzna szczerzy zęby w cwaniackim uśmiešku równego gościa na luzie. Wymarzony zawód: życiowy inwalida. Wkrótce znowu zabrzmie dzwonek i dwie kobiety rzucą się na siebie. Później, kiedy wysłuchają już wystarczająco dużo jego chamskich uwag, wymienią spojrzenia, lekko kiwną głowami i obie go zaatakują. Tym razem personel ochrony zaczeka trochę dłużej, ponieważ ta końcowa bitwa to jest to, co publiczność w studiu i w domach naprawdę chce zobaczyć: kwoki napastujące koguta.

Ta krótka i fatalna moda pod koniec lat osiemdziesiątych – infekcja – nazywała się „walki meneli”. Jakiś rynsztokowy geniusz wpadł na pomysł, który okazał się zyskowny, a wtedy trzech czy czterech impresariów doskoczyło, żeby dopracować umowę. Brało się dwóch meneli i płaciło każdemu po

trzydzieści dolców, żeby się naporzali w wyznaczonym czasie i miejscu. Z miejsc Hodges najlepiej pamiętał stację obsługi za obskurną farmą krabów należącą do klubu striptizowego Bam Ba Lam, po wschodniej stronie miasta. Jak już ustalili program walk, reklamowali imprezę (ustnie, bo w tamtych czasach internet nie był jeszcze powszechnie dostępny) i inkasowali od widzów dwadzieścia dolców od łebka. W tej, na którą Hodges i Pete Huntley zrobili nalot, uczestniczyło ponad dwie setki, obstawiali wyniki i przebijali stawki jak zwariowani. Były też kobiety, niektóre w wieczorowych sukniach i obwieszone biżuterią; patrzyły, jak dwaj żule z rozmiękłymi mózgami rzucają się na siebie, młóć i kopią, przewracają się i podnoszą, wrzeszcząc niezrozumiale. Tłum śmiał się, wiwatował i dopingował przeciwników.

Ten show jest podobny, tyle że stawkę podbijają pigułki odchudzające i towarzystwa ubezpieczeniowe, więc Hodges przypuszcza, że zawodnicy (bo to zawodnicy, chociaż prezenter nazywa ich „gośćmi”) dostają trochę więcej niż trzydzieści dolarów i butelkę belta. I żadne gliny się nie wtrącają, bo to równie legalne jak loteria.

Kiedy show się kończy, pojawia się sędzina, która nie bierze jeńców, osłonięta zawodową maską zniecierpliwionej prawości, i wysłuchuje skarg różnych małych gnojków, ledwie hamując wściekłość na ich głupotę i małostkowość. Następny jest tłusty psycholog rodzinny, który doprowadza swoich gości do płaczu (nazywa to „przebiciem muru zaprzeczenia”) i każe im wyjść, jeśli któryś ośmieli się zakwestionować jego metody. Hodges przypuszcza, że tłusty psycholog nauczył się tych metod ze starych filmów instruktażowych KGB.

Hodges przełyka tę porcję kolorowego gówna codziennie po południu, siedząc w fotelu La-Z-Boy z rewolwerem ojca – tym, który tato nosił jako krawężnik – na podręcznym stoliku. Zawsze podnosi go kilka razy i zagląda do lufy. Bada

tę okrągłą ciemność. Przy kilku okazjach wsunął go do ust, żeby sprawdzić, jakie to uczucie, kiedy naładowana broń leży na języku i celuje w podniebienie. Można się przyzwyczaić.

Gdybym potrafił pić z dobrym skutkiem, myśli, mógłbym to odłożyć. Mógłbym to odłożyć przynajmniej na rok. A gdybym to odłożył na dwa, ta potrzeba mogłaby minąć. Mógłbym się zainteresować ogrodnictwem albo obserwowaniem ptaków, albo nawet malowaniem. Tim Quigley zaczął malować. Na Florydzie, na osiedlu dla emerytów zamieszkanym przez starych gliniarzy. Podobno Quigley naprawdę się tym pasjonował i nawet sprzedał kilka swoich prac na Ulicznym Festynie Sztuki w Venice. To znaczy do czasu udaru. Po udarze spędził osiem czy dziewięć miesięcy w łóżku, ze sparaliżowaną całą prawą stroną ciała. Skończyło się dla niego malowanie. A potem odszedł. Pa, pa.

Rozlega się dzwonek oznajmiający początek rundy i rzeczywiście obie kobiety rzucają się na chuderlawego faceta w krzykliwym krawacie, błyskają pomalowane paznokcie, powiewają długie włosy. Hodges znowu sięga po broń, ale zaledwie jej dotknął, słyszy kliknięcie klapki we frontowych drzwiach i szelest poczty spadającej na podłogę w holu.

Nic ważnego nie przychodzi pocztą w tych czasach e-maili i Facebooka, ale Hodges mimo wszystko wstaje. Przejrzy listy i odłoży ojcowski M & P .38 na następny dzień.

2

Kiedy Hodges wraca na fotel ze skromną kupką listów, prezenter show żegna się i zapowiada widzom TV Land, że jutro w programie zobaczą karłów. Fizycznych czy umysłowych, nie precyzuje.

Obok fotela stoją dwa małe plastikowe kosze, jeden na butelki zwrotne i puszki, drugi na śmiecie. Do kosza na

śmiecie trafia reklamówka z Walmartu obiecująca OBNIŻKĘ CEN; oferta ubezpieczenia pogrzebowego adresowana do NASZEGO ULUBIONEGO SAŚIADA; ogłoszenie, że wszystkie DVD będą sprzedawane o pięćdziesiąt procent taniej tylko przez jeden tydzień w Discount Electronix; pocztówka z prośbą o „Państwa ważny głos” na faceta startującego do zwolnionej posady w radzie miejskiej. Na zdjęciu kandydat przypomina Hodgesowi niejakiego doktora Oberlina, dentystę, który stanowił postrach jego dzieciństwa. Jest też ulotka z supermarketu Albertsona. Tę Hodges odkłada (przykrywając chwilowo rewolwer ojca), ponieważ pełno w niej kuponów.

Ostatnia przesyłka wygląda na prawdziwy list – dość grubo – w standardowej biznesowej kopercie. Zaadresowany jest do Det. K. Williama Hodgesa (Em.) na Harper Road 63. Nie ma adresu nadawcy. W górnym lewym rogu, tam, gdzie zawsze, Hodges widzi drugą w dzisiejszej poczcie uśmiechniętą buźkę. Tylko że to nie Śmieszek z Walmartu z przymrużonym okiem, ale raczej e-mailowy emotikon Śmieszka w ciemnych okularach, szczerzącego zęby.

Budzi wspomnienia, i to niedobre.

Nie, myśli Hodges. Nie.

Ale otwiera list tak szybko i gwałtownie, że rozdziera kopertę i wysypują się cztery zadrukowane kartki – nie napisane na maszynie, tylko wydrukowane komputerową czcionką, która wygląda jak maszynowa.

„Drogi detektywie Hodges”, brzmi nagłówek.

Hodges sięga, nie patrząc, strąca ulotkę Albertsona na podłogę, po omacku omija broń, nawet tego nie zauważysz, i chwytą pilota. Wyłącza telewizor, przerywając gderanie sędziny niebiorącej jeńców, i skupia uwagę na liście.

Drogi detektywie Hodges!

Mam nadzieję, że pozwoli mi Pan używać tego tytułu, chociaż od 6 miesięcy jest Pan na emeryturze. Uważam, że jeśli niekompetentni sędziowie, skorpumpowani politycy i głupi dowódcy wojskowi mogą zatrzymać swoje tytuły po zakończeniu kariery, to samo powinno dotyczyć jednego z najczęściej odznaczanych oficerów policji w historii tego miasta.

A więc niech będzie detektyw Hodges!

Sir (następny tytuł, na który Pan zasługuje, gdyż jest Pan prawdziwym Rycerzem Odznaki i Spluwy), piszę z wielu powodów, ale powinienem zacząć od pogratulowania Panu wielu lat służby, 27 jako detektywi i 40 ogółem. Oglądałem fragmenty ceremonii pożegnalnej w telewizji (kanał drugi publicznej TV, przez wielu pomijany), i przypadkiem wiem, że później wieczorem w Raintree Inn przy lotnisku odbyło się przyjęcie.

To na pewno była prawdziwa ceremonia pożegnalna!

Oczywiście nigdy nie uczestniczyłem w takim „jublu”, ale oglądam dużo policyjnych programów w telewizji i chociaż zdaję sobie sprawę, że wiele z nich przedstawia bardzo fałszywy obraz „służb policyjnych”, w kilku pokazano takie pożegnalne przyjęcia (Nowojorscy gliniarze, Wydział zabójstw Baltimore, Prawo ulicy itd.) i chciałbym wierzyć, że DOKŁADNIE w ten sposób Rycerze Odznaki i Spluwy żegnają jednego ze swoich współtowarzyszy. To całkiem możliwe, bo czytałem również epizody z „pożegnalnych przyjęć” w co najmniej dwóch książkach Josepha Wambaugh i są bardzo podobne. On powinien się na tym znać, bo też jest „Det. Em.”, jak Pan.

Wyobrażam sobie baloniki zawieszzone pod sufitem, mnóstwo alkoholu, mnóstwo świntuszenia, mnóstwo wspominania dawnych czasów i dawnych spraw. Pewnie jest też głośna, wesola muzyka i może striptizerka albo dwie, „kręcące kuperkami”. I przemówienia, dużo zabawniejsze i dużo prawdziwsze niż na wcześniejszej „sztywnej” uroczystości.

Jak mi idzie?

Całkiem nieźle, pomyślał Hodges. Całkiem nieźle.

Według moich informacji w trakcie kariery detektywistycznej rozwiązał Pan dosłownie setki spraw, wiele z nich tego rodzaju, które dziennikarze (nazywani przez Teda Williama Rycerzami Klawiatury) określają jako „głośne”. Złapał Pan Zabójców i Rabusiów, Podpalaczy i Gwałcicieli. W jednym artykule (opublikowanym w odpowiednim czasie, żeby zbiegł się z Pańskim odejściem na emeryturę) Pański długoletni partner (Det. 1. stopnia Peter Huntley) opisuje Pana jako „połączenie praworządności i intuicyjnej błyskotliwości”.

Miły komplement!

Jeśli to prawda, a myślę, że tak, zrozumiał Pan już, że jestem jednym z tych niewielu, których Pan nie złapał. W rzeczywistości jestem człowiekiem, którego prasa nazywa:

- a) Jokerem
- b) Klaunem
- albo
- c) Zabójcą z Mercedesa.

Wolę to ostatnie!

Z pewnością dołożył Pan „wszelkich starań”, lecz niestety (dla Pana, nie dla mnie) podniósł Pan

porażkę. Wyobrażam sobie, detektywie Hodges, że ze wszystkich „sprafców” najbardziej chciał Pan schwytąć tego, który przed rokiem umyślnie wjechał w tłum przed Targami Pracy w City Center, zabijając osiem osób i raniąc dużo więcej. (Muszę powiedzieć, że wynik przekroczył moje najśmielsze oczekiwania). Czy myślał Pan o mnie, kiedy wręczała Panu tamtą plakietkę na Oficjalnej Ceremonii Pożegnalnej? Czy myślał Pan o mnie, kiedy koledzy z Bractwa Rycerzy Odznaki i Spluwy opowiadali historyjki o (tylko zgaduję) przestępcach przyłapanych dosłownie z opuszczonymi gaciami albo zabawnych kawałach urządzanych w starej dobrej sali odpraw?

Założę się, że tak!

Chcę Panu opowiedzieć, jaka to była zabawa. (Jestem teraz szczery). Kiedy nacisnąłem „gaz do dechy” i wjechałem mercedesem biednej starej pani Olivii Trelawney w ten tłum ludzi, miałem największy „wzwód” w życiu! A czy moje serce waliło 200 razy na minutę? „Jeszcze jak!”

W tym miejscu pojawił się następny Śmieszek w ciemnych okularach.

Zdradzę Panu coś, co jest prawdziwą „tajną informacją”, i jeśli chce Pan się śmiać, proszę bardzo, bo to rzeczywiście trochę śmieszne (choć świadczy również o mojej ostrożności). Miałem na nim kondom! „Gumę”! Ponieważ obawiałem się Spontanicznej Ejakulacji i w rezultacie zostawienia DNA! No, nie doszło do tego, ale od tamtego czasu wiele razy się masturbowałem, wspominając, jak oni próbowali uciekać i nie mogli (byli ściśnięci jak sardynki), i jacy byli przestraszeni (to było takie śmieszne), i jak szarpnęło mnie do przodu, kiedy samochód się w

nich „worał”. Tak mocno, że pas bezpieczeństwa się zablokował. Rany, to było podniecające.

Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, co się może stać. Myślałem, że mam szanse 50 na 50, że mnie złapią. Ale jestem „niepoprawnym optymistą”, przygotowanym raczej na Sukces niż na Porażkę. Kon-dom to „tajna informacja”, ale założę się, że wasz wydział techniczny (oglądam też CSI) był cholernie rozczarowany, kiedy nie znaleźli żadnego DNA na wewnętrznej stronie maski klauna. Na pewno powiedzieli: „Szlag! Ten cwany sprafca widocznie założył siatkę na włosy!”.

I mieli rację! W dodatku umyłem maskę WYBIE-LACZEM!

Wciąż jeszcze przeżywam te łupnięcia, kiedy w nich wałnałem, i chrzęst zgniatania, i podskakiwanie samochodu na amortyzatorach, kiedy przejeżdżał po ciałach. Pod względem mocy i sterowności nie ma to jak 12-cylindrowy mercedes! Kiedy przeczytałem w gazecie, że jedną z moich ofiar było niemowlę, byłem zachwycony! Zdmuchnąć tak młode życie! Pomyśleć, ile ona straciła, hę? Patricia Cray, niech spoczywa w pokoju! Mamuškę też dopadłem! Dżem truskawkowy w śpiworze! Co za rozkoszny dreszczyk, no nie? Lubię też myśleć o tym facecie, który stracił ramię, i jeszcze bardziej o tych dwojgu, którzy są sparaliżowani. Mężczyzna tylko od pasa w dół, ale Martine Stover jest teraz „bezwładnym klo-cem”. Nie umarli, ale pewnie ŻAŁUJĄ, że nie umarli! Co Pan na to, detektywie Hodges?

Teraz Pan pewnie myśli: Co to za chory i pokręcony zbok? W zasadzie nie dziwię się Panu, ale możemy o tym podyskutować! Myślę, że bardzo wielu ludzi z radością zrobiłoby to co ja i dlatego lubią książki

i filmy (i w naszych czasach nawet programy TV) o Torturach i Ćwiartowaniu, itd., itd., itd. Jedyna różnica polega na tym, że ja to naprawdę zrobiłem. Ale nie dlatego, że jestem szalony (w każdym sensie). Po prostu dlatego, że choć nie wiedziałem dokładnie, jakie to będzie doświadczenie, wiedziałem, że będzie absolutnie porywające, „niezapomniane”, jak to się mówi. Większości ludzi w dzieciństwie zakłada się Ołowiane Buty i muszą je nosić przez całe życie. Te Ołowiane Buty to inaczej SUMIENIE. Ja go nie mam, więc mogę szybować wysoko ponad głowami Zwyczajnego Tłumu. A gdyby mnie złapali? No, gdyby mnie złapali na miejscu, gdyby w mercedesie pani Trelawney zgasł silnik albo coś (małe szanse, bo wydawał się bardzo dobrze utrzymany), pewnie tłum rozerwałby mnie na strzępy, brałem pod uwagę taką możliwość, ale to tylko zwiększało podniecenie. Wątpię jednak, czyby do tego doszło, bo większość ludzi to owce, a owce nie jedzą mięsa. (Pewnie mogliby mnie trochę pobić, ale potrafię znieść bicie). Prawdopodobnie zostałem aresztowany i postawiony przed sądem, gdzie zgłosiłbym niepoczytalność. Może nawet jestem szalony (naturalnie taka myśl przyszła mi do głowy), ale to szczególny rodzaj szaleństwa. W każdym razie moneta upadła reszką do dołu i uciekłem.

Mgła pomogła!

No i widziałem coś jeszcze, tym razem na filmie. (Nie pamiętam tytułu). Był sobie Seryjny Zabójca, bardzo sprytny, i z początku gliniarze (jednego z nich grał Bruce Willis, dawniej, kiedy jeszcze miał trochę włosów) nie mogli go złapać. Więc Bruce Willis powiedział: „On to znowu zrobi, bo nie może się powstrzymać, i prędzej czy później popełni błąd, a

wtedy go złapiemy”.

I złapali!

To nie dotyczy mojego przypadku, detektywie Hodges, ponieważ ja absolutnie nie czuję potrzeby, żeby to znowu zrobić. W moim przypadku jeden raz wystarczył. Mam swoje wspomnienia, jasne jak słońce. I oczywiście to, jak się ludzie bali potem, bo byli pewni, że znowu to zrobię. Pamięta Pan publiczne zgromadzenia, które odwoływano? To okazało się niezbyt ekscytujące, ale było „tres amusant”.

Więc jak Pan widzi, obaj jesteście „Em.”.

Skoro o tym mowa, żałuję tylko, że nie mogłem uczestniczyć w Pańskim przyjęciu pożegnalnym w Raintree Inn i wznieść toastu za Pana zdrowie, mój poczciwy Sir Detektywie. Zrobił Pan absolutnie wszystko, co w Pana mocy. Oczywiście detektyw Huntley też, ale jeśli dokumenty i doniesienia internetowe o Waszych karierach mówią prawdę, Pan grał w Pierwszej Lidze, a on był i zawsze będzie graczem trzecioliigowym. Z pewnością śledztwo ciągle jest „w toku” i od czasu do czasu on wyciąga stare raporty, żeby je studiować, ale do niczego nie dojdzie. Obaj chyba o tym wiemy.

Czy mogę dołączyć Wyrazy Zaniepokojenia?

W niektórych programach telewizyjnych (a także w jednej z książek Wambaugh, chyba, chociaż może u Jamesa Pattersona) po wielkim przyjęciu z balonikami, popijawą i muzyką następuje smutna scena końcowa. Detektyw wraca do domu i odkrywa, że bez Spluwy i Odznaki jego życie nie ma sensu. Co potrafię zrozumieć. Jak się zastanowić, coż jest smutniejszego niż Stary Emerytowany Rycerz? W każdym razie Detektyw na końcu strzela do siebie (zawsze ze Służbowego Rewolweru). Sprawdziłem

w internecie i dowiedziałem się, że to wcale nie jest fikcją. Takie rzeczy naprawdę się zdarzają!

Wśród emerytowanych policjantów jest niezwykle wysoki wskaźnik samobójstw!

W większości przypadków gliniarze, którzy popełniają ten smutny uczynek, nie mają bliskiej rodziny, więc nikt nie zauważa Znaków Ostrzegawczych. Wielu, jak Pan, jest rozwiedzionych. Wielu ma dorosłe dzieci, mieszkające daleko od domu. Wyobrażam sobie, jak siedzi Pan samotnie w swoim domu na Harper Road, detektywie Hodges, i zaczynam się martwić. Co Panu zostało z życia, kiedy „dreszczyk polowania” przeminął? Ogląda Pan dużo telewizji? Możliwe. Więcej Pan pije? Prawdopodobnie. Czy godziny mijają wolniej, odkąd życie stało się takie puste? Czy cierpi pan na bezsenność? Ojej, mam nadzieję, że nie.

Ale obawiam się, że jednak tak!

Pewnie potrzebuje Pan jakiegoś Hobby, żeby mieć o czym myśleć, zamiast o „tym, który zwał” i że nigdy mnie Pan nie złapie. Szkoda byłoby, gdyby Pan zaczął myśleć, że cała Pańska kariera była stratą czasu, bo facet, który zabił tylu Niewinnych Ludzi, „prześliznął się Panu przez palce”.

Nie chciałbym, żeby zaczął Pan myśleć o swojej broni.

Ale Pan o niej myśli, prawda?

Chciałbym na koniec przekazać ostatnie pozdrowienie od „tego, który zwał”. Pozdrowienie brzmi:

PIERDOL SIĘ, ZŁAMASIE!

Żartowałem!

Szczerze oddany

ZABÓJCA Z MERCEDESA

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).